

## BÓG OJCIEC W ŚWIECIE BEZ OJCÓW

Chcąc rozwinąć ten godny uwagi temat, przedstawimy najpierw panoramiczną wizję problematyki dotyczącej „Ojca” w sytuacji aktualnej. Następnie podamy krótki zarys historyczny początków tej sytuacji. W końcu zaś się zajmiemy jej konsekwencjami kulturalnymi.

### 1. Problem „Ojca” w wierze chrześcijan dzisiejszych

Możemy stwierdzić z całą pewnością, że coraz to bardziej się odczuwa nieobecność Boga Ojca w świadomości chrześcijan. Pomijając niektóre grupy elitarne, które po Soborze Watykańskim II zespoliły się w niewielkie wspólnoty, ruchy i ośrodki refleksji, w których zgłębiano ducha Soboru, wielkie rzesze chrześcijan nie znają już Ojca.

Trynitarne bogactwo naszej wiary, które było specyficznym dziedzictwem Ameryki Łacińskiej od XVIII wieku, zostało w znacznym stopniu zagubione. Automatycznie wypowiadamy słowa: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”, znacząc się znakiem krzyża, niewielu jednak uświadamia sobie wagę i znaczenie tych słów.

Kiedys, przy okazji spotkania kierowników wspólnot chrześcijańskich, postawiłem pytanie: Do kogo się zwracają, odmawiając „Ojczy nasz”? Usłyszałem odpowiedź: Do Pana! Odpowiedziałem: To dobrze, ale co oznacza to nijakie słowo? Przecież obecnie w Kanonie Mszy świętej słowo „Pan” odnosi się do Boga Ojca, do Syna Bożego i do Ducha Świętego. Encyklika Jana Pawła II o Duchu Świętym *Dominum et Vivificantem* mówi, w ślad za *Credo*, o Duchu jako o *Panu i Ożywicielu*. Niemniej, pojęcie to odnosi się wyraźnie do każdej z trzech Osób Bożych. Została jednak nieco wcześniej zaaprobowana przez Stolicę Apostolską reforma modlitw eucharystycznych, wprowadzonych kilka lat po zakończeniu ostatniego soboru, w których pojęcie „Pan” zostaje zarezerwowane tylko dla Chrystusa. Boga Ojca nazywa się w nich zawsze „Ojcem” a Ducha Bożego — Duchem Świętym. Nastąpiło to przypuszczenie z tej racji, że nazywanie „Panem” każdej z trzech Osób Bożych wprowadzało zamieszanie wśród wiernych.

Modlitwa „Ojcze nasz” jest jakby dokumentem tożsamości chrześcijanina. Chrześcijaninem jest ten, kto odmawia „Ojcze nasz”. Albo raczej ten, kto odmawia tę modlitwę świadomie, ze zrozumieniem jej słów. Albowiem niejeden może się jej nauczyć — jeśli ma dobrą pamięć... — nie stając się tym samym chrześcijaninem: nie rozumie przecież tego, co mówi.

Ale co trzeba tutaj rozumieć? To, że odmawiając „Ojcze nasz” zespalam się z Chrystusem, Synem Ojca, po to, aby On mnie kierował, w Sobie samym, przez Siebie i wraz ze Sobą, do Ojca niebieskiego. Obecnie „Ojcze nasz”, ta tak istotna modlitwa chrześcijan, nie kieruje się praktycznie do Ojca. Wielu nawet nie wie, do kogo się zwracają. Niekiedy, gdy się odwiedza jakąś rodzinę chrześcijańską, ojcowie chcą się pochwalić „łaskami” i „wdziękami”, jakie zaczyna okazywać ich dziecko i mówią: „Ojcze! Moje dziecko zna już trochę prawd wiary...”. Podnoszą je do krzyża i stawiają mu pytanie: kto to jest? A dziecko odpowiada: „Bóg Tata”. Matka się wtedy uśmiecha i cieszy. Nie jest to złe, gdyż w Biblii, kiedy Izajasz zapowiadał proroczo tytuły, jakie otrzyma Mesjasz, nazwał Jezusa „Ojcem na wieki” Jezus jest postacią ojcowską, ale nie jest „Ojcem” Kiedy więc dziecko nazywa Ukrzyżowanego „Bogiem Tatusiem”, zaczyna już mieszać pojęcia. A gdy po latach usłyszy lub powie coś więcej o Bogu Ojcu, nie będzie wiedziało, czy Ojciec i Chrystus są, czy nie są, jedną i tą samą Osobą.

Po tych stwierdzeniach mających charakter anegdotyczny rozważmy to, co jest w nich istotne. W XVIII wieku nastąpiło wielkie załamanie kulturalne w Ameryce Łacińskiej, spowodowane wtargnięciem na ten kontynent liberalnej myśli francuskiej. Burbonowie osiedlili się w Hiszpanii; nastąpiła niezależność; zaczęto przyjmować cały ładunek rewolucji francuskiej, odcinając się zarazem — zwłaszcza poprzez wyrzucenie jezuitów — od tradycji pastoralnej, sięgającej XVI wieku. Nastąpiło brutalne zerwanie z przeszłością. Jeżeli się przejrzy na przykład wielkie bogactwo wyobrażeniowe sztuki kolonialnej, napotka się bez trudu bardzo liczne obrazy i rzeźby, ukazujące Trójkę Świętą. Od tego czasu zanikają jednak stopniowo wizerunki Trójcy Świętej. Pozostaliśmy już z samym tylko Chrystusem, Synem Maryi. Wszyscy dobrze to wiedzą, że Jezus ma Mamę. Nieznany jest natomiast niemal całkowicie Ojciec Jezusa. Są nawet tacy, którzy — gdy ktoś rozwija kwestię Trójcy Świętej — mówią: „Po co komplikować te sprawy? Nigdy dotąd nie słyszeliśmy, że trzy Osoby są jednym Bogiem i że jeden Bóg jest trójosobowy... A zresztą, czy to nie to samo, skoro istotne jest to, że jest jeden Bóg! Kim zaś Bóg jest

sam w sobie, to nie nasza sprawa. Jeżeli Bóg jest dwu-, trój-, cztero- lub pięcio-osobowy, dla nas znaczy to to samo...”

Ale osobiście nie wiem na sto procent: co oznacza to „to samo” Albowiem pierwszym stwierdzeniem Biblii o nas — a przecież interesuje nas to właśnie, kim lub czym są ludzie — są słowa, jakie pisarz natchniony wkłada w usta Boga: „Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam” (Rdz 1, 26). Interesuje nas bardzo to, jaki jest Bóg i jaki jest On sam w Sobie, albowiem zostaliśmy stworzeni na Jego obraz. Jeżeli nie rozumiemy tajemnicy Boga, to nigdy też nie pojmiemy własnego powołania ludzkiego. Tymczasem centralną tajemnicą Boga jest tajemnica Trójcy Przenajświętszej. Polega zaś ona na tym, że Bóg nie jest samotny, „nie jest samotnością — jak powiedział to tak pięknie Jan Paweł II w Puebla — lecz rodziną”, Wspólnotą Miłości, w której jest Ojciec, jest Syn i jednoczący Ich Obu Duch Święty. Jest to podstawowa prawda naszej wiary. I nie chodzi tu o czystą teorię. Ma ona bowiem olbrzymie znaczenie praktyczne. Skoro zostaliśmy stworzeni na obraz Boga Trójcy, to zaciemniając obraz tego Boga, zaciemniamy tym samym swój własny obraz, to wyobrażenie, jakie mamy o sobie. A wtedy już nie wiemy, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i jakiego szczęścia szukamy. I to właśnie ciąży na nas obecnie.

W miarę jak zaciemnia się oblicze Boga Trójjedynego, a zwłaszcza oblicze Ojca — pierwszej Osoby Bożej, zaciemniają się także twarz i rysy człowieka. I coraz mniej już rozumiemy, jaki jest sens naszego życia.

Jezus nie jest „niczyj” Jezus ma Matkę, a nade wszystko ma Ojca. Matkę ma od dwóch tysiącleci. Ale Ojca ma od całej wieczności. Zanim się stał Synem Maryi w dziejach ludzkości, od całej wieczności jest już Synem Ojca. Przyszedł na ziemię właśnie po to, aby ogłosić nadejście Królestwa Ojca. Trzy pierwsze Ewangelie, a zwłaszcza św. Marka, ukazują Jezusa obwieszczającego Królestwo Ojca. Św. Marek zaczyna swoją Ewangelię od nauczania Jezusa, a nie od Jego dzieciństwa. Jezus wkracza bowiem w życie publiczne, głosząc bliskie już Królestwo Ojca. Ale co to oznacza, że nadchodzi Królestwo Boże? Oznacza, że Ojciec postanowił wkroczyć w dzieje ludzkie, aby zacząć królować jak Ojciec wśród ludzi. Samym sercem Dobrej Nowiny głoszonej przez Jezusa jest zwiastowanie Ojca, obwieszczanie wszystkim, że Bóg jest Ojcem.

Chrystus przychodzi, aby dać ludziom wolność: wolność pełną, całkowitą. Sam rdzeń jej wyzwolenczego orędzia polega na objawianiu ludziom oblicza Ojca. Chcąc to zrozumieć, powinniśmy się zapytać: Od czego chce nas Jezus wyzwolić? Odpowiedź jest jasna:

Nie tylko od bólu i śmierci, ale od *lęku* przed bólem i śmiercią. Wszystko, co boli, doskwiera, cały smutek i wszelka żalność zaczyna już „boleć”, zanim jeszcze nas dosięgną: a to na skutek lęku, strachu przed bólem. Żyjemy przepelnieni lękiem przed tym, co „może” nastąpić. Zło, które nie wyszło nam dotąd jeszcze na spotkanie, sprawia nam już ból. Objawienie Ojca zmierza do wyzwolenia nas w pierwszym rzędzie od lęku przed boleścią, albowiem to lęk nas przygniata znacznie wcześniej, aniżeli sam ból nas dosięgnie.

W swoim pierwszym przemówieniu na Boże Narodzenie roku 1978 Jan Paweł II wypowiedział zdanie, które przyjął potem za swe motto Kongres Eucharystyczny w Chile w roku 1980: „Nie lękajcie się, otwórzcie drzwi Chrystusowi!” A dlaczego właśnie wtedy, gdy otworzymy drzwi Chrystusowi, opuści nas lęk? Dlatego, że Chrystus przyszedł na ziemię, aby nam powiedzieć, że Bóg, Wszechmogący, Ten, w którego rękach znajduje się nasze życie, jest Bogiem mającym serce Ojca. Jeżeli zatem nasze życie znajduje się w rękach Ojca, który miłuje nas nieskończenie i ma moc nieograniczoną, to dlaczego mamy się lękać? Wszystkim kieruje ten Ojciec miłości zgodnie z planem miłości. A Ojciec ten jest tak potężny, że nawet z krzyża i dróg najbardziej bolesnych — jak ta Jezusowa — potrafi wydobyć dobro, spowodować zmartwychwstanie, sprawić miłość. I dlatego właśnie: „Nie lękajcie się!” „Nie troszczcie się zbyt o swoje życie, o to, co macie jeść i pić (...). Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sięją ani żną i nie zbierają do spichlerzy, a Ojciec wasz niebieski żywi je. Czyż wy nie jesteście ważniejsi niż one? (...) Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną (...). Nawet Salomon w całym swym przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, małej wiary? (...) Przecież Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie” (Mt 6, 25-32). Są to zapewnienia samego Jezusa, które trzeba brać na serio: Bogu nic się nie wymyka z rąk. Gdyby było inaczej, nie byłby On Bogiem. Gdyby faktycznie mógł spaść choć jeden włos z naszej głowy bez Jego zgody, nie byłby On Bogiem, nie byłby Wszechmocnym, albowiem wymknęłaby Mu się z rąk władza nad tym jednym włosiem. Nie byłby zatem „Wszech”-mocnym. Mógłby być „Bardzo”-mocnym, ale nie „Wszech”-mocnym.

Jezus przychodzi na świat, aby nam obwieścić ten Byt Wszechpotężny, który wszystkie, lub prawie wszystkie, religie świata intuicyjnie przeczuwały. Większość z nich odczuwa przecież wy-

rażnie istnienie różnych mocy nadludzkich: najpotężniejszą z nich nazywano Zeusem lub Jowiszem, wierząc równocześnie w wiele innych... Wyznawcy tych religii obawiali się jednak stosowania swej mocy przez różnych bogów: tego, że będą się nią posługiwać w duchu zemsty, albo w jakichś celach zupełnie dla nas niezrozumiałych. W tej sytuacji Jezus przekazuje ludziom prawdziwie wyzwalającą wiadomość: Bóg Wszechmogący jest Ojcem. I używa swej mocy właśnie jako Ojciec miłujący nieskończenie swoje dzieci. Jest to Jego „Dobra Nowina”, napełniająca nas radością i pozwalająca nam spokojnie stawić czoło życiu.

Ojciec ten, którego Jezus objawia, ukazuje się nie tylko poprzez Jego słowa, albowiem Jezus przyszedł objawić Ojca, ukazując Go zwłaszcza w Sobie samym. W istocie rzeczy, jako Jego Syn jedyny, Jezus jest najdoskonalszym Obrazem Ojca. Albowiem jako Bóg otrzymuje tylko od Niego całe swoje jestestwo Boże. Natomiast w Jego człowieczeństwie rzecz ma się odwrotnie: Jezus został ukształtowany całkowicie z ludzkiej substancji Maryi. Jego geny i chromosomy pochodzą tylko od Niej. I dlatego, z ludzkiego punktu widzenia, stanowi On żywe odzwierciedlenie Maryi — w wersji męskiej. Podobnie też, z punktu widzenia Jego boskiej osobowości, Jezus jest doskonałym obrazem Ojca niebieskiego, „obrazem Boga niewidzialnego” (Kol 1, 15), jak mówi św. Paweł. Przyszedł, aby nam ukazać niewidzialne oblicze Boga — tego Ojca miłości nieskończonej — poprzez swoją miłość, a zwłaszcza dzięki obrazowi Dobrego Pasterza.

Trzeba się zatrzymać na tej *przypowieści o dobrym pasterzu*, aby odkryć, że ma ona wymowę o wiele głębszą niż nam się to wydaje. Jezus przychodzi ukazać oblicze Ojca, Wszechmogącego. I właśnie On, który jest widzialnym Obrazem tego Niewidzialnego Wszechmocnego, przychodzi nauczyć ludzi tego, jak się używa „mocy”, wszelkiej i jakiegokolwiek mocy. *Przypowieść o dobrym pasterzu* jest „przypowieścią o wykonywaniu mocy”. Słowo „pasterz” jawi się nam jako nieco romantyczne; niekiedy cała wyobraźnia religijna, zwłaszcza minionego wieku, czyniła z tego słowa wyrażenie delikatne, nazbyt słodkie i mdłe, przywołujące na myśl dobrego pasterza o rysach jakby kobiecych, o nieskalanej szacie z jedwabiu... Nie ma to nic wspólnego ze znaczeniem, jakie wyraz „pasterz” miał dla Hebrajczyków. Obraz ten był po prostu symbolem władzy, autorytetu. „Pasterzami” nazywano królów i kapłanów, tych wszystkich, którzy mają władzę w zakresie cywilnym i religijnym. A Ezechiel, kiedy rzuca anatemy na „złych pasterzy Izraela”, ma na uwadze równocześnie złych kapłanów i złych władców. Obwieszcza także, że kiedyś sam Bóg przyjdzie

osobiście, aby ludziom ukazać, jak się jest pasterzem (por. Ez 34). Dlatego też, gdy Jezus mówi: „Ja jestem dobrym pasterzem” (J 10, 11), nie stwierdza tylko tego, że jest jakimś tam dobrym Pasterzem, ale że to On właśnie jest tym Dobrym Pasterzem, o jakim mówił prorok, i że jest tym właśnie Bogiem, który przychodzi ukazać ludziom, jak się jest pasterzem i jak powinna postępować wszelka władza ludzka, tak świecka jak religijna: albowiem każda władza jest uczestnictwem w mocy Boga i dlatego — jako taka — winna być wykonywana tak, jak Bóg wykonuje swoją władzę. Stąd też Jezus, Pasterz Dobry, ukazuje siebie jako Wzór wszelkiej władzy, żywy Odblask autorytetu Ojca.

Dobry Pasterz jest zresztą postacią ojcowską, pod którą Jezus ukazuje samego siebie, aby dopomóc nam zrozumieć, po co przyszedł: przyszedł, aby się zaopiekować trzodą Ojca, by być dla nas Odblaskiem Jego miłości. To właśnie tłumaczy apostołowi Filipowi podczas Ostatniej Wieczerzy. Filip już od trzech lat towarzyszył Jezusowi i słuchał Jego nauki o Ojcu. Kiedy więc Jezus zapowiada w noc swego pożegnania z uczniami, że odchodzi do Ojca, Filip niemal odruchowo prosi: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy”. Na co Jezus, trochę jakby rozczarowany i zasmucony, odpowiada: „Filipie, tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca. Dlaczego więc mówisz: «Pokaż nam Ojca?»” (J 14, 8-9).

Jezus od całej wieczności jest najdoskonalszym Obrazem Ojca. Jest przecież Bogiem, tak jak Ojciec. Ojciec przekazał Mu w darze całe swoje życie i wszelką władzę jako Synowi, Syn zaś się wcielił po to, by Jego własne oblicze, które jest odbiciem oblicza Ojca, mogło stać się widzialne poprzez twarz ludzką. Ale nie chodzi tutaj o twarz ludzką w sensie fizycznym: o oczy, uśmiech itd., lecz o „twarz wewnętrzną”, czyli o sposób miłowania. Jezus przychodzi, aby umiłować miłością odzwierciedlającą doskonale tę miłość, jaką Ojciec nas miłuje. Kto czyta Ewangelię i widzi, jak Jezus kocha, ten wie, że tak właśnie kocha Ojciec. Zwłaszcza gdy rozmyśla nad tym, jak sam Jezus opisuje swój sposób miłowania w *przypowieści o dobrym pasterzu*: pasterzu tak bliskim, że zna każdą owcę po imieniu, który z wielkim zatroskaniem szuka wciąż obfitego pożywienia i czystej wody dla owiec, broni je przed wilkiem i wszelkimi innymi niebezpieczeństwami, jest gotowy oddać swoje życie za owce, a zwłaszcza za jedność trzody.

Jezus, Dobry Pasterz, jest „sakramentem” Ojca, widzialnym znakiem Ojca niebieskiego i Jego miłości. Kiedy więc opuszcza tę ziemię, pragnie, aby Jego obecność jako Dobrego Pasterza trwała nadal. I dlatego ustanawia dwunastu apostołów, czyniąc ich Paste-

rzami, a zwłaszcza Piotra: aby byli wzorem dla trzody Jezusa, jak On sam był tym Wzorem; i aby szli w świat, ukazując poprzez swoją ojcowską troskę o Kościół, oblicze Ojca, odbijające się w twarzy każdego z nich, tak jak Chrystus je odzwierciedlał.

Wielkim dziedzictwem, jakie Jezus nam przekazuje i które skupia w sobie całe Jego wyzwolicielskie orędzie, jest modlitwa „Ojcze nasz” Jezus w niej uczy i zachęca do wzywania Ojca, tak jak On sam Go wzywa. Chociaż, ściśle rzecz biorąc, Jezus nie nazywa Go „Ojcem” Pojęcie „Ojciec” jawi się już w Starym Testamencie, ale używane jest raczej w tym sensie, w jakim posługujemy się nim, mówiąc o kapłanach, albo o papieżu: „Ojciec Święty” Jest to zatem tytuł bardziej honorowy, oznaczający pewne zadanie, funkcję. Wiele religii nazywało Boga Ojcem w sensie „Źródła życia”, Źródła wszechświata. Jednak tak rozumiany Ojciec sugeruje pewien dystans, wyniesienie i wymaga przede wszystkim szacunku. Również Izrael nazywał tak Boga. Zdumiewające u Jezusa jest to, że wkracza On nagle w historię swojego narodu, mówiąc o Bogu w sposób niezwykły. Wystarczy sobie przypomnieć oskarżenie, jakie kierowano pod Jego adresem przed Męką: „Czynił się równym Bogu!” Na czym opiera się ten zarzut mówiący, że Jezus uważał siebie za równego Bogu? Na tym właśnie, że nie mówił On o Bogu jako o „moim Ojcu”, ale jako o „moim Tacie” A to oznacza coś zgoła innego. Słowo „Ojciec”, brane w sensie alegorycznym i honorowym (zaszczytnym, dostojnym), może być odnoszone do Boga, ale nazywanie Go „Tatą”, posługiwanie się pojęciem, jakie dzieci kierują do ojca, dzieląc z nim tę samą naturę, to „tatanie” Boga, jak czyni to Jezus, musiało w uszach Żydów dźwięczeć jak bluźnierstwo; było jakby „braniem Boga za kieszeń”, równaniem się z Nim w samej swej naturze. A przecież Jezus nazywał Go tak właśnie: „Mój Tata”

Słowo „tata” jest onomatopieczne: stara się odtworzyć brzmienie bełkotu niemowląt. Tymczasem na całym świecie niemowlęta płaczą na „a”, albowiem „a” jest najłatwiejsze do wymówienia, co zresztą słychać wyraźnie, gdy dziecko płacze na całe gardło z otwartymi ustami. Trochę później niemowlę odkrywa, że poruszając wargami i mlaskając językiem jest w stanie przerwać ten dźwięk „a”. Wówczas się pojawia spółgłoska raczej nieokreślona i dziecko zdaje się mówić: papa-pa-papa... Matka podpowiada mu wtedy : „Mów: papa, tata”. Matka hebrajska podpowiadała: „Mów: abba”. Jeżeli więc małe dzieci chilijskie mówią często: „mój apa” to Jezus mawiał: „mój Abba”. Tak bowiem matki żydowskie konkretyzowały ten dźwięk swoich niemowląt.

Z taką też zażyłością Jezus mówi o Bogu. Albowiem w rzeczy samej Bóg jest Jego Ojcem, Tata: On zaś jest Jego Synem, który dzieli wraz z Nim Jego boską naturę, albowiem w Jego ludzkim ciele płynęło to samo życie Boga, tak boskie, jak życie Ojca. I dlatego miał On pełne prawo nazywać Boga „Tatą” Kiedy zaś uczył ludzi modlitwy „Ojcze nasz”, powiedział uczniom po aramejsku (a więc tym językiem, jakim się posługiwał), aby się modlili w ten właśnie sposób: „Tato nasz, który jesteś w niebie...”. Posłużył się słowem „tata” Dopiero potem, gdy tłumaczono Ewangelie na język grecki, zniknęło z pola widzenia to tak wymowne znaczenie „tata” Niemniej św. Paweł zachowuje z pewnością wyrażenie oryginalne. W *Liście do Rzymian* (8, 15) i w *Liście do Galatów* (4, 6) stwierdza, że Duch Święty, Duch Jezusa, każe nam zwracać się do Boga słowami: „Abba, Ojcze!” A Ewangelia św. Marka, kiedy opisuje Jezusa strwożonego w Ogrodzie Oliwnym, podaje, że zwraca się On do Boga słowami: „Abba, Ojcze, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie! Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty niech się stanie!” (Mk 14, 36). Jezus godzi się na mękę, gdyż pewien jest tego, iż Bóg jest Jego Tatą i że Ojciec-Tata prawdziwy, Tata, który kocha miłością nieskończoną, nie może dopuścić czegoś tak bolesnego, jeżeli na dłuższą metę nie widzi, że wyjdzie to na dobro.

Tego to właśnie Boga-Tatę Jezus przyszedł obwieścić. Jest to samo jądro Jego Ewangelii. Można by nawet powiedzieć, że ktoś, kto tego nie odkrył, nie doszedł do tego, by się przeobrazić drogą nawrócenia w autentycznego chrześcijanina. Może być nawet człowiekiem ochrzczonym, ale nie dotarło do niego jeszcze to, co się w nim samym dokonało w momencie chrztu świętego: to, że się stał dzieckiem Boga. A przecież tylko bycie dzieckiem Boga upoważnia człowieka do nazywania Go „Tatą”, jak czynił to sam Jezus. Nie chodzi więc o samo tylko słowne odmawianie „Ojcze nasz”, ale też o „odczuwanie” przy tym tego, czego pragnie sam Jezus, kiedy zaleca nam tę modlitwę: tego, co mamy czuć i w co wierzyć, kiedy ją odmawiamy. Gdy natomiast mówimy: „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego”, ważne jest także to, byśmy byli głęboko przeświadczeni, iż Bóg jest Ojcem. Iluż jednak chrześcijan dzisiejszych nie staje nigdy w obliczu Boga Ojca, jak przed swoim prawdziwym Tatą! Co najwyżej wiedzą oni, że Bóg istnieje; dla nich jednak nie jest On tym „Ty” osobowym, drogim i poszukiwanym. Jeżeli ich chrześcijaństwo kończy się na Chrystusie, to jest chrześcijaństwem okaleczonym: Chrystus nie kończy się bowiem na sobie samym. Sam przecież powiedział, że jest „Drogą” (J 14, 6)

prowadzącą do Ojca (a nie „kresem” lub „celem”). Zapewniał także: „Przychodzę od Ojca i wracam do Ojca” Ośrodkiem życia Chrystusa jest Ojciec.

Należy to mocno podkreślać, albowiem zwykło się często mówić, iż nasza duchowość powinna być „chrystocentryczna” Tak i nie. To oczywiste, że ośrodkiem naszej wiary, naszej duchowości chrześcijańskiej, jest Chrystus, ale nie Chrystus zamknięty sam w sobie. Gdyż ten właśnie Chrystus, mocą Ducha Świętego, jest zawsze „idący” do Ojca, od którego pochodzi i od którego przyszedł do nas. Chrystus jest Ośrodkiem mającym równocześnie inne Centrum, do którego wciąż się zwraca. Autentycznym chrześcijaninem jest przeto ten człowiek, który w samym centrum swojego jestestwa umieścił Chrystusa przekazującego nam swojego Ducha, Ducha Syna, aby całe życie zmierzało ku Ojcu z tą siłą, z jaką On idzie do Ojca. Przypominamy sobie, że to On powiedział: „Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który Mnie posłał” (J 4, 34). I to niezależnie od tego, jak trudna i bolesna miała być dla Niego ta wola. Cały życiowy impuls Jezusa zmierza do czynienia tego, co „się Ojcu podoba” — jak mówi inny tekst. Kto więc nie wkroczył w to synowskie współbrzmienie z wolą Ojca, ten nie utożsamiał się jeszcze z Chrystusem-Synem, z którym chrzest miał nas utożsamiać. Nie wyznał także tego, że Duch Święty, który się nam oddał tego właśnie dnia, wypowiada w głębi naszego serca słowo, które utożsamia chrześcijanina jako takiego: „Tata, Abba”

## 2. Krótki zarys historyczny wielkiego kryzysu

Co jest przyczyną tak wielkiego zubożenia wiary tylu chrześcijan? Sięgnijmy choć krótko w dzieje. W pierwszych wiekach po Chrystusie aż po czasy św. Augustyna (czyli w. IV—V) Kościół posiadał wielkie bogactwo niezwykle wprost życia trynitarne. Trójca Święta znajdowała się w samym centrum życia chrześcijańskiego. Natomiast od czasów św. Augustyna dają się już zauważyć pewne akcenty odrębne. Chcąc bowiem wnikać w samą głębię tajemnicy trynitarnej, dawniejsi Ojcowie wschodni, których ośrodkiem był Konstantynopol, podchodzili do tej tajemnicy z perspektywy tekstu biblijnego. A w tym właśnie tekście mówi się o trzech Osobach: Ojcu, Synu i Duchu Świętym. Stąd więc pytanie, jakie sobie stawiali, brzmiało: jak ci „Trzej” mogą być „Jednym”? Natomiast na Zachodzie — gdzie na rozwój myśli wpływał zdecydowanie św. Augustyn, który czerpał natchnienie z filozofii platońskiej — pytanie brzmiało odwrotnie: jak jeden jedyny Bóg

może być „Trójcą”? W samym sposobie stawiania tych pytań mamy już inne rozłożenie akcentów, czego następstwa pojawiają się nieco później, w różnych stuleciach. Zgoła nieświadomie posuwano się tą drogą naprzód, zaciemniając specyfikę własną każdej Osoby Bożej; natomiast „Trójcę” zastępowała w świadomości wierzących coraz to bardziej idea Boga Jedynego.

Pierwszy wielki kryzys pojawił się jednak dopiero w wieku XVI, w dobie Odrodzenia. Nurtem teologicznym, który opanował wówczas cały Kościół, była myśl św. Augustyna. (Św. Tomasz wychodził bowiem od pytania, w jaki sposób Bóg, Bóg Jedyny, Stwórca nieba i ziemi, może być Trójcą?). I właśnie augustianin, Marcin Luter, niewłaściwie (lub przynajmniej wrywkowo, fragmentarycznie) odczytał i zrozumiał św. Augustyna, zapoczątkowując ten wielki kryzys. Od Lutra się zaczyna — chociaż on sam tego nie zamierzał — załamanie się teologii Ojca, ale także teologii Dobrego Pasterza, rozumianej jako teologia władzy, autorytetu.

Dwa doświadczenia Lutra stały się istotne dla całego dalszego rozwoju historii współczesnej.

Pierwsze polega na tym, że żyje on w czasie, kiedy to najwyższa hierarchia kościelna, papieństwo, przeżywała okres wielkiego upadku. Był to czas rządów papieża Aleksandra VI i innych papieży podobnego stylu, których życie pozostawiało wiele do życzenia. Ponadto pojawił się podpisany przez nich projekt „sprzedawania odpustów” celem pokrycia kosztów budowy bazyliki św. Piotra. Z drugiej strony Watykan cechowała wielka pompacyjność, która szokowała Lutra. Popęłnił on jednak błąd, mieszając słabość ze słabym, chorobę z chorym, i zamiast mówić, że skoro władza kościelna jest chora, to trzeba ją leczyć i oczyszczać, dochodząc do wniosku negującego ją w ogóle jako taką. Mieszał on ponadto grzesznika z grzechem, zapominając o tym, że grzesznik zasługuje na szacunek, niezależnie od tego, jak bardzo godnym potępienia jest jego grzech. Wołał raczej odciąć to, co zdrowe, i wołał: „Precz z władzą!” Miał tak spirytualistyczne pojęcie Boga, że nawet myślał, iż poza Chrystusem nikt nie może odzwierciedlać oblicza Ojca, albowiem nigdy nie będzie miał w sobie wystarczającej czystości. I dlatego właśnie twierdził, iż nie może być na świecie takich ludzi, którzy otrzymują zadanie wykonywania funkcji pasterzy w Kościele — po Chrystusie. A przecież sam św. Paweł głosił stanowczo i z całkowitym spokojem: „Bądźcie moimi naśladowcami, jak ja jestem naśladowcą Chrystusa” I sam się nazywał „ojcem” swoich wiernych. Mówił nawet do nich: „Choćbyście mieli bowiem dziesiątki tysięcy wychowawców

w Chrystusie, nie macie wielu ojców; ja to właśnie przez Ewangelię zrodziłem was w Chrystusie Jezusie” (1 Kor 4, 15). W ten sposób odnosił do siebie, bez żadnego skrępowania czy zażenowania, słowo „ojciec”, traktując siebie samego jako odbłask Chrystusa i ojca Jego uczniów. Natomiast Luter, przeciwnie, obwieszcza zniesienie — na płaszczyźnie religijnej — wszelkich autorytetów, które miałyby być przedłużeniem Dobrego Pasterza.

Ale Luter idzie jeszcze dalej. Jego kryzys polega na zwątpieniu nie tylko w odniesieniu do kwestii ludzkich pasterzy Kościoła, ale także do samej tajemnicy ojcostwa Bożego.

Co się dzieje z Lutrem? Wychodzi on ze stwierdzenia, że Bóg przede wszystkim stwarza. Dostrzega więc najpierw Stwórcę, a następnie człowieka, który grzeszy. Jako Stwórca, Bóg jest źródłem życia wszystkim. Ale z chwilą popełnienia grzechu pierwotnego — twierdzi Luter — Bóg postanawia, że jedni się zbawia, a inni — nie. Albowiem sam Jezus mówi o możliwości zbawienia i potępienia. Wydawałoby się zatem, że stworzenie było darem ofiarowanym przez Boga wszystkim, natomiast inaczej rzecz się ma ze zbawieniem, które odnosi się tylko do nielicznych. Luter twierdzi mianowicie, że do zbawienia sam Bóg wybiera, ale wybiera dowolnie. Jawi się zatem u niego obraz Boga arbitralnego, który — zrodziwszy wszystkich ludzi jako Stwórca — kiedy ludzie grzeszą i upadają, postanawia zbawić wyłącznie niektórych. Tym samym napełnia on ludzi lękiem w obliczu zbawienia: czy ten Bóg arbitralny, który przestał być już Ojcem dobrotliwym, wybrał także mnie, ażeby mnie zbawić? Chcąc znaleźć rozwiązanie tej trudnej kwestii, Luter stwierdza: Znakiem, że ktoś się znajduje pośród zbawionych, jest nadzieja, jaką wierzy, że zostanie zbawiony. I trzyma się kurczowo tego, że chodzi tu jedynie o odczucie czysto osobiste i subiektywne.

Na czym polega błąd Lutera? Odwrócił on dane biblijne. To filozofowie mówili o Bogu Stwórcy, a także *Księga Rodzaju* w Starym Testamencie, która się zaczyna od Boga Stworzyciela (przemawiającego, rzecz zdumiewająca, w liczbie mnogiej: „Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam!”). Chodzi w niej o początek dziejów, historii. Natomiast Nowy Testament sięga o wiele dalej. *List do Efezjan* na przykład, wyjaśniając dzieje zbawienia, wychodzi od momentu sprzed stworzenia świata i ukazuje, że od całej wieczności, zanim się jeszcze objawił jako Stworzyciel, Bóg był Ojcem, Synem i Duchem Świętym. I że ten Bóg, który postanawia stworzyć ludzi, aby wszyscy byli Jego dziećmi, jest Ojcem. A więc rzeczy nie mają się tak, jakoby był najpierw Stwórca, który stwarza i który dopiero potem tylko niektórym pozwala być

swoimi dziećmi. Ten bowiem Stwórca jest już Ojcem od całej wieczności, a *wszystkich* ludzi, których stworzył, stworzył po to, by byli Jego dziećmi. Nie jest to Bóg arbitralny, który daje zbawienie tylko nielicznym, a innym — nie. Od początku bowiem postanowił stworzyć nas wszystkich, abyśmy byli Jego dziećmi — w Jego Synu. Natomiast z chwilą, gdy zgrzeszyliśmy, ponawia tę swoją ofertę i sprawia, że Jego Syn przychodzi osobiście, aby nam zwiastować nasze powołanie: obwieścić łaskę Bożego synostwa ofiarowanego — ponownie — wszystkim ludziom. Dramat polega więc na tym, że niektórzy przyjmują zbawienie (powołanie do tegoż synostwa), a inni — nie.

Wraz z Lutrem zaczyna się natomiast zniekształcanie oblicza tegoż Ojca, który jest Ojcem wszystkich ludzi. Kalwin przypisuje jeszcze surowsze rysy obliczu Boga. O ile bowiem dla Lutra Bóg był arbitralny, to dla Kalwina Bóg przekształca się teologicznie w dyktatora. Kalwin nie wierzy zupełnie w ludzką wolność. Zgodnie z jego znaną nauką o przeznaczeniu, wolność ludzka jest tylko pozorem. Wzrasta tym samym lęk przed tym Bogiem arbitralnym i dyktatorskim, który czyni z nami to, co chce, nie szanuje człowieka, ale z góry determinuje naszą wolność. W ten sposób otwierają się wrota dla duchowości lęku przed Bogiem.

Najistotniejsze w takim sposobie patrzenia na te sprawy są wynikające stąd skutki życiowe. Po pierwsze, reformacja protestancka pociąga za sobą okrutne wojny między katolikami a zwolennikami reformatorów. W wieku XVII mamy straszną i przerażającą wojnę trzydziestoletnią. Umysły bardziej niespokojne zaczynają już wtedy podważać pewność wiary w Boga Biblii: jeżeli w imię tegoż Boga ludzie wierzący walczą nawzajem ze sobą przez trzydzieści lat (tłumacząc na różne, własne sposoby Biblię), to trzeba stwierdzić, że wiara chrześcijańska nie stanowi solidnej podstawy do skonstruowania na niej społeczności braterskiej. Zaczyna się też pojawiać idea (albo przynajmniej marzenie sensne) społeczeństwa opartego na czymś bardziej powszechnym od wiary i solidniejszym od niej, na czymś, co mogło być wspólne dla wszystkich ludzi: na ludzkim rozumie!

Myśl ta się pojawiła w wieku XVIII. *Liberalizm* jest pierwszą ideologią, w której się wyraża to pragnienie zbudowania świata bardziej ludzkiego, opartego już nie na Bogu Biblii, a więc nie na tym Ojcu, którego oblicze uległo zaciemnieniu, lecz na rozumie człowieka. A liberalizm się rozszerza coraz to bardziej jako wzór pewnej formy życia autonomicznego, wbrew Bogu. Nie zaprzecza on wprost istnienia Boga, niemniej w praktyce stawia rozum na Jego miejsce i wyłącznie w życiu prywatnym zostawia pole do

wiary w Boga. U filozofów wieku XVIII, którzy akceptują przeciw Boga, zostaje On coraz to bardziej sprowadzony do jakiegoś dalekiego Stwórcy, który ukształtował na początku świat i dał mu prawa nim rządzące (wizja ta stanowi to, co nazwano „deizmem”), ale jest bardzo daleki od tego, by być bliskim Ojcem, którego miłość, dzięki Jego Opatrzności, towarzyszy i obejmuje Jego dzieci w każdej chwili ich życia.

Liberalizm doprowadził do całej serii nadużyć ekonomicznych. Pojawia się przeto inna ideologia — materializm marksistowski — zmierzająca do tego samego: do oparcia współzycia ludzkiego na rozumie, z odrzuceniem i wykluczeniem jednak nadużyć liberalizmu kapitalistycznego. Obie te ideologie chcą być anty-autorytetowe. Od wieku XVI, kiedy to się rozpoczęła rebelia Lutra, skierowana przeciw władzy w Kościele, żyjemy aż do dzisiaj w kulturze anty-autorytetowej. A tym samej wrogiej „Ojcu”

Bóg Ojciec jest przecież najwyższym Autorytetem, „Wszechmocnym” i „Wszechmogącym”. Każde więc odrzucenie autentycznego autorytetu staje się w ten czy inny sposób odrzuceniem Ojca. Tym sposobem historia czasów nowożytnych może być krótko ujęta jako historia konfliktu pomiędzy wolnością a władzą. Można by nawet powiedzieć, że w Odrodzeniu kultura zachodnia osiąga w pewien sposób swoją „dojrzałość kulturową” w tym, że zapoczątkowuje rebelię wobec wizerunku Ojca.

W omawianym właśnie rozwoju historycznym mamy zatem pierwszy kamień milowy u Lutra. Nie neguje on faktu, że Bóg jest Ojcem, ale deformuje Jego oblicze. Przede wszystkim odrzuca to, by ten Ojciec miał swoich przedstawicieli tutaj, na ziemi, na płaszczyźnie religijnej. Nie ma — według niego — takiej władzy, która reprezentowałaby Boga wewnątrz Kościoła.

Drugim momentem historycznym jest *rewolucja francuska*, poprzez którą wkracza myślenie deistyczne i liberalne. Istotny w tej rewolucji nie był fakt pozbawienia tronu Ludwika XVI i Marii Antoniety oraz wprowadzenia innego systemu rządzenia, odrębnego od monarchii. O wiele bardziej znacząca była zmiana w pojmowaniu władzy, autorytetu. Rewolucja francuska obwieszcza bowiem, że władza w społeczeństwie doczesnym nie pochodzi od Boga, jak przyjmowano to zawsze aż do tego momentu. Nie wszędzie byli królowie, ale zawsze, u wszystkich ludów, aż do tego momentu, istniała władza, którą traktowano jako pochodzącą od Boga. Nie było ważne to, w jaki sposób decydowano, kto ją wykonuje: czy drogą wyboru, czy dziedziczenia, itd. Pochodziła ona od Boga i to było istotne: skoro bowiem władza pochodzi od Boga, powinna być wykonywana *po Bożemu*, na wzór samego Boga,

i będzie w końcu rozliczana przed Nim ze swej realizacji. Zgoła inaczej rzecz się ma wtedy, gdy władza pochodzi od ludu: wówczas to lud decyduje o tym, jak się ją wykonuje, i tylko przed nim ona się rozlicza. Jeżeli na przykład jakiś lud toleruje fakt mordowania milionów Żydów i to, że ich się transportuje do obozów koncentracyjnych, albo też gdy ci, którzy sprawują władzę, uważają taką rzeczywistość za stosowną i właściwą, to w takiej sytuacji nie ma już nikt nic do powiedzenia. Jeżeli władza ludzka — a to utrzymuje przecież rewolucja francuska — opiera się na sobie samej, jeżeli zależy wyłącznie od woli ludu, to ludzie mogą posługiwać się władzą, jak im się żywnie podoba.

To właśnie się pojawia na polu politycznym i ekonomicznym wraz z liberalizmem. Na wolnym rynku każdy korzysta ze swej władzy ekonomicznej, jak mu się tylko podoba. Wobec nadużyć liberalizmu ekonomicznego następuje jednak reakcja marksistowska. Niewątpliwie, chociaż marksizm proponuje system różny od liberalizmu w kwestii posiadania i własności dóbr, to na płaszczyźnie władzy i autorytetu, oba te systemy są dokładnie takie same: są to bracia bliźniacy, ideologie radykalnie anty-autorytarne. Marksizm doprowadza do skrajności wypaczenia liberalizmu i głównie dlatego (dążąc do całkowitego wyzwolenia człowieka od Boga) doprowadza w końcu, w sposób zgoła paradoksalny, do powstawania tyrańskich dyktatur, które przekreślają całkowicie wolność.

Marks się jawi na samym wierzchołku tego anty-autorytarnego i ateistycznego paroksyzmu wieku XIX: kiedy marzy o nieskończonym postępie opartym na samym tylko rozumie ludzkim, na nauce i technice. Już od A. Comte'a nabierał rozpędu ten proces. Jednak swój szczyt osiągnął dopiero u Marksa. Ogłasza on bowiem początek panowania (królowania) człowieka i śmierć wszelkich bóstw. Krytykuje religię i twierdzi, że sam człowiek się zbawia i sam się wyzwala, względnie wybawia sam siebie. Nie ma żadnej władzy, żadnego autorytetu wyższego od człowieka. Marks doprowadza do ostatecznych konsekwencji wyzwolenicze nastawienie rewolucji francuskiej. Dochodzi jednak do paroksyzmu utopijnego, kiedy ubóstwia ludzką wolność i odrzuca wszelką władzę. Liberalizm był bardziej realistyczny: uznawał bowiem, że każdy autorytet może nadużyć swej władzy i się przekształcić w zagrożenie dla wolności. Uznawał zatem — ze względów praktycznych — konieczność jakiegoś „minimum” władzy, aby w ten sposób zagwarantować przynajmniej te normy, które pozwolą na dowolną grę indywidualnych wolności. Marks poszedł o wiele dalej: dla niego, wszelka władza jest zła sama w sobie. I dlatego domagał się społeczeństwa komunistycznego, w którym nie będzie już żadnej władzy. Dykta-

tura proletariatu była rozumiana przez Marksa jako coś koniecznego, ale i przejściowego zarazem, gdyż miała służyć wyłącznie zniszczeniu dyktatury burżuazji. Kiedy ta zostanie ostatecznie wyeliminowana, zacznie się wówczas — zgodnie z jego teorią — społeczeństwo komunistyczne, w którym nie będzie już żadnej władzy. Teorie marksistowskie nie potrafiły jednak wyjaśnić nigdy do końca tego, jak może istnieć społeczeństwo bez władzy. Rozwijano różne hipotezy, aby uwiarygodnić takie marzenie. Istotna jest jednak sama treść tej koncepcji: a jest nią nienawiść do władzy (a tym samym do „Ojca”). A także jej dramatyczne następstwa: to, że każdy kraj marksistowski został skuty brutalnymi, tyrańskimi dyktaturami, tak że już nikt nie wie, jak mogą one ustąpić miejsca temu rajowi wolności, o jakim marzył Marks.

Trzecim słupem w rozwoju postaw anty-autorytarnych w naszej kulturze jest Z. Freud. Do protestanckiego, liberalnego i marksistowskiego odrzucenia autorytetów ludzkich, które w jakikolwiek bądź sposób uczestniczą we władzy Boga na płaszczyźnie *religijnej lub ekonomicznej*, Freud dodaje, iż można je jeszcze spotkać niekiedy na płaszczyźnie *rodzinnej*. Konkretnie zaś obraz „ojca” w rodzinie jest wytworem całej serii napięć, konfliktów i kompleksów psychologicznych, które nie mają nic wspólnego z „Ojcem” transcendentnym. W ten sposób niszczy, jako odbłask i przedstawiciela Boga, ostatni z Jego śladów kulturowych, który — z drugiej strony — miał być życiowo pierwszym i najbardziej poszukiwanym, a także tym jedynym, jaki towarzyszył zawsze Jego imieniu i je przypominał: „Ojciec”. Możemy więc słusznie opisać naszą kulturę od czasów Freuda nie tylko jako tą, która doprowadziła w końcu do „śmierci Boga” (wyrażenie pochodzące od Nietzsche’go), ale także do „śmierci ojca”, Boga jako „Ojca” i tych wszystkich, którzy Go reprezentują jako Takiego.

### 3. Groźba władzy w naszych czasach

Żyjemy zatem w świecie, którego kultura przeniknięta jest tym odrzucaniem władzy, które — poczynając od Lutra — zniekształciło całkowicie wizerunek Ojca. Paralelnie do tego procesu, człowiek współczesny zaczyna, dzięki nauce, rozwijać pewien rodzaj władzy — władzę techniczną, która nigdy dotąd nie występowała w takiej formie, jaką zaczęła zdobywać w ostatnich stuleciach. Jawi się bowiem ona obecnie w postaci podbijającej, ujarzmiającej, jako władza, która jest umiejętnością dominowania, kontrolowania i manipulowania ludźmi. Dlaczego boimy się tak bardzo ludzi „możnych i potężnych”? Albowiem ci „silni” dzisiejsi

mogą, jeśli tylko zechcą, podsłuchiwać wszystkie nasze rozmowy telefoniczne, bądź też gromadzić wszelkie dane personalne, nawet te najbardziej intymne, w swoich komputerach; mogą także dzięki samolotom i satelitom szpiegowskim czuwać nad nami według swej własnej woli. Możliwość atomowego samobójstwa ludzkości nie jest zresztą czystą teorią. Tworzono i gromadzono wciąż tak wielką siłę, która teraz nas uziemia. Siłę i władzę, która, gdyby ją dobrze wykorzystano, przyniosłaby cudowne wprost skutki, ale kiedy zostanie źle zużyta... — już samo słowo „władza” lub „siła” wywołuje przerażenie: wystarczy uświadomić sobie tylko te olbrzymie możliwości manipulowania, uciskania i unicestwiania tysięcy i milionów osób, możliwości, które obecnie, po raz pierwszy w dziejach, mogą się przeobrazić (albo nawet już się przeobrażają) w straszną i przerażającą wprost rzeczywistość. Kto ma dzisiaj w swoich rękach władzę, ten może zrobić to wszystko, co mu się żywnie podoba: może osiągać niewyobrażalne wprost granice brutalności i bestialstwa, posługując się technikami wybitnie sofistycznymi, wykorzystując chemię lub elektronikę do zniszczenia mózgu danej osoby, lub też siłą atomową, aby wymazać z mapy cały kraj lub kraje.

Słowo „władza” stało się przeto dla wielu pojęciem negatywnym, które wywołuje lęk. Władza konkretyzowała się przecież coraz to bardziej jako ta siła, która się przejawia w formie dominacji i manipulowania ludźmi. Autorytet państwa jawi się na przykład jako władza, która może manipulować całym krajem poprzez własną sieć telewizyjną, udzielanie — lub nie — odpowiednich koncesji, itd. itd.

I dlatego człowiek dzisiejszy odczuwa lęk przed władzą. Tymczasem Bóg, o jakim Jezus nam mówi, jest „Wszzechwładczy”, „Wszchemogący”; jest to Bóg, który stanowi „Najwyższy Autorytet” Dla nas, ludzi naszego wieku, wyrażenia „władza” i „autorytet” są obciążone tymi wszystkimi dopiero co wymienionymi elementami, które wywołują niemal odruchowy sprzeciw. Skoro zatem w swej podświadomości jesteśmy przeciwni autorytetowi i władzy w ogóle, to chcąc czy nie chcąc jesteśmy także predysponowani w ostatecznym rozrachunku, aby być przeciwko Bogu. Wobec takiej sytuacji nieodzowne staje się dążenie do odzyskania prawdziwego wizerunku Boga: tego, że jest to Bóg Miłości, mający oblicze Ojca, i że jest On dla ludzi prawdziwym i jedynym Wzorem wszelkiego autorytetu i wszelkiej formy wykonywania władzy na ziemi. Jeżeli nie odzyskamy tego właśnie sposobu wykonywania władzy — w jakimkolwiek zakresie życia — w świetle wizerunku Ojca Wszchemogącego, którego objawił nam Jezus

Chrystus, będziemy nadal wędrowali w stronę coraz to bardziej brutalnego kryzysu kulturalnego, który obejmuje już całokształt naszego życia.

Kultura dzisiejsza została zbudowana z myślą o skuteczności technicznej (umożliwionej dzięki postępom nauki). Władzę zaś się pojmuje jako siłę skuteczności. Jeżeli spytamy obecnie kogoś po drodze, czym jest właściwie autorytet, to z pewnością nam odpowie, że jest „rozkazywaniem”. W kulturze skuteczności autorytet się sprowadza w rzeczy samej do tego jednego: rozkazywania, albowiem rozkaz jest czymś najbardziej skutecznym, bardziej szybkim, błyskawicznym. Jednak kiedy w świetle Ewangelii stawiamy sobie pytanie, czym jest autorytet, to patrząc na Jezusa, Dobrego Pasterza, i na Ojca niebieskiego (którego odzwierciedla Jezus, Pasterz Dobry), odkrywamy, że funkcja autorytetu polega zgoła na czymś innym.

Autorytet istnieje po to, aby „dawać życie”. Stąd się przecież wywodzi termin „autorytet”. Etymologicznie bowiem „autorytet” oznacza: być „autorem” innego bytu. Pojęcie to wywodzi się z łacińskiego słowa *augere*, które oznacza „wzrastać”, „powiększać”. Autor jakiejś książki jest na przykład tym, który pisząc stronę po stronie sprawia, że ta książka wzrasta i się powiększa. Autorytetem w najbardziej podstawowym znaczeniu jest ten, kto przekazuje w darze komuś innemu to, czym ten inny jest. „Być autorytetem” i „być ojcem” jest przeto jednym i tym samym.

Ojcowie stają się „autorytetem” dla swych dzieci przez to, że je rodzą. Mama kontynuuje to samo zadanie, zapewniając im pokarm, którego potrzebują do swego rozwoju, kiedy jeszcze nosi je w swoim łonie. Tata ze swej strony czyni to, opiekując się mamą i pracując wówczas, gdy mama przygotowuje się już do porodu, aby dziecko, które jest jeszcze w jej łonie, miało wszystko niezbędne do narodzin. Kiedy zaś się rodzi, o ile dzieje się to w domu, pierwszym obowiązkiem ojca jest je umyć, ubrać, itd. Wszystko to jest wypełnianiem jego ojcostwa, a tym samym jego władzy, autorytetu. Dziecku dopiero co narodzonemu nie wydaje się od razu żadnych „rozkazów”: żywi się je, przytula, pieści, głaska, zapewnia się mu wszystko, co się przyczynia do jego wzrostu... Pieszczoty nie są czymś nieuzasadnionym, mającym zaspokoić jedynie potrzeby i pragnienia matki: są służbą „matczyńskiego autorytetu” dziecku, albowiem dziecko potrzebuje, a nawet i wymaga przytulania do siebie po to, by się pobudzało, ożywiało i by się rozwijały jego mózg i uczucia. Wszelkie przejawy serdeczności ojców są ich służbą życiu. Tak więc matka, która przytula dziecko do piersi, staje się tym samym prawdziwym „autorytetem”

dla niego, jest bowiem „autorką” tego fizycznego i psychicznego rozwoju, jaki się dokonuje w tym dziecku, które się czuje pewnie i bezpiecznie w jej ramionach. A ojciec, w miarę jak pobudza swe dziecko lub mu coś doradza, staje się także „autorytetem” dla niego w najlepszym i najbardziej podstawowym tego słowa znaczeniu.

Autorytet jest prawdziwym autorytetem (zgodnym ze swym znaczeniem etymologicznym i wzorem, jaki znajduje w Bogu), w miarę jak pomaga we wzrastaniu. Natomiast środki pomagające do wzrastania kogoś innego są wprost niezliczone: żywienie, naukanie własnym przykładem, słowami, doradzanie, wybaczenie... Jak wiele daje dzieciom umiejętność wybaczenia im i pobudzania ich do czegoś nowego! Nikt nie nauczy dzieci chodzenia za pomocą rozkazów czy okrzyków: „Chodź!” Nie. Trzeba wziąć dziecko za rączkę, zachęcić je wyciągniętymi rękami, przyuczyć i ożywić... Istnieje tak wiele rzeczy wyprzedzających wszelki „rozkaz”, które są nieodzowne do pomagania we wzrastaniu. Rozkaz ma sens tylko wtedy, gdy służy faktycznie życiu: kogoś, o kogo właśnie chodzi, lub też życiu innych. Autorytet tylko wtedy się uzasadnia, gdy służy życiu — jako źródło życia. Jak bardzo ubogie wobec takiego ujęcia jest współczesne pojęcie autorytetu!

Rozważmy w tym kontekście sytuację w rodzinie dzisiejszej. Najbardziej zeszpeconym w niej obrazem jest bez wątpienia, ujmując rzecz statystycznie, postać ojca. Matka wychodzi niesłychanie lepiej. Przypominam sobie słowa ojca, wypowiedziane w chwili, gdy jego syn kończył dziesiąty rok życia: „Muszę wyznać, że zaczynam rozumieć, co znaczy być tatą dla tego dziecka... Zakładając, że widziałem, co znaczy mieć syna, muszę uczciwie przyznać, że dopiero teraz zrozumiałem, co oznacza «być tatą»” Tymczasem kobieta odczuwa swoje macierzyństwo już od poczęcia dziecka. Dokonują się w niej bowiem tak liczne zmiany, że jest czymś niemożliwym, by nie czuła się już mamą. Kobieta wobec niemowlęcia odczuwa spontanicznie niesłychaną wprost wrażliwość. Mężczyzna natomiast musi się dopiero uczyć „czuć się tatą”, a to trwa na ogół dosyć długo, jeśli mama mu w tym nie pomoże. A ileż to waśni lub kłótni wywołuje taka sytuacja w domach! Kobieta wciąż powtarza: „Porozmawiajmy o dzieciach!” Ojciec zaś odpowiada: „Jestem bardzo zmęczony, morduję się bardzo pracując na nie i to jest mój wkład...”. Mężczyzna jest skłonny sądzić, że jego miłość polega na dawaniu „czegoś” dzieciom, na tym, by im nie brakowało niczego w domu lub rodzinie. Jednak miłość jest czymś znacznie większym. Ojciec powinien pomagać w rozwoju osobowości dziecka. Aby mogło się właściwie rozwijać, dziecko potrzebuje dialogu, towarzystwa, troski, czułości. Jeśli nie

dba o to wszystko, ojciec naraża się na niebezpieczeństwo stania się zwyczajnym „tragarzem”, względnie „ładowaczem”, ogniska rodzinnego. Dla przezwyciężenia takiego nastawienia konieczne jest to, by małżonka nauczyła go bycia ojcem. Jak wiele dramatów przeżywają obecnie nasze rodziny na tym właśnie polu! Ojciec bywa lub czuje się tak często nieobecny w domu. Zajmuje się rodziną, ale jakby od zewnątrz: „Tak... bardzo cię kocham, to oczywiście, że rzadko mnie widzisz, ale przecież ciężko pracuję na ciebie i dla dzieci...” Ileż to dzieci odczuwa dzisiaj złość wobec takiego taty, który „się wyniszcza, pracując dla nich”, i dają one wprost do zrozumienia, że wołałyby mieć mniej pieniędzy, ale mieć ojca czułego, kochającego, gdyż mają tak wiele spraw do omówienia z nim i tak wiele pytań wymagających jego osobistej odpowiedzi.

Gdy uświadamiamy sobie te problemy występujące zwłaszcza w niższych warstwach społeczno-ekonomicznych, dostrzegamy równocześnie mniej lub bardziej wyraźnie „nieobecność ojca”, spowodowaną dosyć często poszukiwaniem przez niego odpowiedniej pracy lub pracy w ogóle, ale nie tylko. Liczne są bowiem przypadki ojców alkoholików, maltretujących matkę, a nawet gwałcących własne córki. Czyż może być coś jeszcze gorszego w naszym ludzkim doświadczeniu ojca?!

A przecież temu właśnie człowiekowi dzisiejszemu, obciążonemu wewnątrz odrzuceniem, a przynajmniej obawą przed jakimkolwiek autorytetem, i lękającym się władzy, mamy głosić Dobrą Nowinę, jaką przyniósł nam Jezus: że Bóg jest Ojcem Wszchemogącym. Jeżeli w doświadczeniu swej własnej rodziny słowo to nie utraciło jeszcze przyjaznej i serdecznej treści — dzięki postawie własnego ojca lub dziadka, czy też wujka, względnie profesora, wychowawcy lub kogokolwiek, kto dał temu młodemu człowiekowi odczuć „coś” z miłości prawdziwie ojcowskiej — wówczas pojęcie „ojciec” będzie jeszcze coś znaczyło dla niego. Jednak obecnie sytuacja jest zgoła inna: dla większości ludzi słowo „ojciec” jest puste, bez treści. Gdy się je wymawia, rzecz się ma, jak ze ślepym, któremu się mówi o całym bogactwie przepięknych kolorów widocznych o zachodzie słońca. Słowa te nie mają w sobie nic żywego, nie przywołują żadnego doświadczenia, nie wywołują żadnych znanych uczuć. Niektóre zaś osoby reagują na „ojca” lub „autorytet” tak negatywnie, że aż im się źle robi. Przypominam sobie przypadek chłopca uzależnionego od narkotyków, który sam wynalazł szczególny koktajl (z ryby i narkotyków) pozwalający mu „unosić się w powietrzu” przez cały czas obecności ojca w domu. Zażywał go tuż przed przyjściem ojca, skutek

zaś trwał aż do jednej godziny po wyjściu ojca z domu. Ojciec był prymitywny i nieobyty: przychodził codzennie pijany, brutalnie bił swą żonę, a jego matkę. Piętnastoletni chłopiec, który uwielbiał wprost swą matkę, nie był w stanie niczego uczynić. Któregoś dnia zjawił się w parafii, w której pracowałem... Ze względu na jego sytuację rodzinną nie można mu było głosić Dobrej Nowiny o tym, że Bóg jest Ojcem. Albowiem wyraz „ojciec” był najgorszym spośród wszystkich, jakie mógł znaleźć w słowniku.

Jakież to kłody przed wiarą stawia obecnie tak wielki kryzys ojca! Kryzys ojcostwa nie jest bowiem tylko kwestią rodzinną. Ma on także, jak widzieliśmy, swoje wielkie reperkusje religijne. Odrzucone oblicze ojca może przecież zablokować uczuciowy dostęp do objawienia Boga-Taty w Ewangelii.

Krótko mówiąc, autorytet ludzki wyodrębnił się i odizolował na wszystkich poziomach od swojego wzorca, jakim jest Bóg Ojciec. Dlaczego człowiek czuje się tak daleki od Boga Ojca? Bo ci, którzy (na płaszczyźnie religijnej, społeczno-ekonomicznej lub rodzinnej) powinni Go odzwierciedlać, tego nie czynią. Jak zatem przerwać to błędne koło? Trzeba zacząć, oczywiście, od rodziny jako miejsca najbardziej fundamentalnych doświadczeń życiowych. W miarę jak ojciec i matka starają się być dobrymi rodzicami, świadczą już własną posługę religijną, tak istotną dla swych dzieci. Jeżeli ojciec i matka okazują autentyczną czułość i serdeczność swemu dziecku, zanim jeszcze to dziecko nauczy się mówić i zanim nawet usłyszy słowo „Bóg” lub „Dziewica Maryja”, jego serduszko już się powoli przygotowuje na traktowanie Boga jako Ojca i Maryji jako Matki, a także do nauczania się wymawiania z głębokim wyczuciem i zrozumieniem słów modlitwy „Ojcze nasz”

Jakże ważne jest uświadamianie sobie reperkusji, jakie może mieć życie rodzinne w życiu religijnym! Ludzie myślą przecież na ogół na podstawie swych własnych doświadczeń. Dzięki niech będą Bogu, Ojcu Wszchemogącemu, który potrafi oddzielać dobro od zła i prostować tak zawiłe nieraz drogi.

Idealną drogą wiodącą do odkrycia prawdziwego oblicza Boga Ojca może być wizerunek Trójcy Świętej. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus i Najświętszego Oblicza miała wyjątkowego ojca, którego proces beatyfikacyjny jest już w toku. Stwierdza także głośno i wymownie, że nauczyła się poznawać Boga, patrząc na swego tatę. Przypomina nawet sobie, że gdy jako bardzo małe dziecko chodziła na Mszę św., nie patrzyła na ołtarz, albowiem niczego nie słyszała ani nie rozumiała, ale spoglądała na twarz swego ojca.

A przyglądając się tej twarzy, uczyła się rozpoznawać wagę tego, co się działo na ołtarzu. Kiedy zaś ojciec jej umarł, pisze, że odmawiając „Ojcze nasz” nie za bardzo wiedziała, do kogo się zwraca w pierwszym rzędzie, albowiem gdy mówiła: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie...”, uświadamiała sobie, że ma tam dwóch „tatusiów”, których twarzy nigdy nie widziała oddzielnie... Jest to idealna droga, którą wszyscy byśmy kroczyli, gdyby się nie pojawił grzech pierworodny. Bez wątpienia, mało jest obecnie takich, którzy mogą iść tą drogą.

Czy to oznacza, że gdy ojciec zawodzi, zostaje tym samym skazany na niemożność doświadczenia Boga jako Ojca? Nie. Normalnie istnieją bowiem aż trzy drogi, którymi Bóg daje nam doświadczenie zdolne zrekompensować braki naszej własnej rodziny.

Po pierwsze, są takie osoby, które na skutek złych doświadczeń z własnym ojcem stały się bardzo samotne i nie spotkały nigdy kogoś, kto byłby dla nich w jakiś sposób odblaskiem Boga Ojca. Zamiast jednak blokować się w takim stanie, jak stało się to ze wspomnianym wyżej chłopcem, sam Bóg sprawia niekiedy, że ta tak dotkliwa dla nich pustka rodzi w nich wielki głód i pragnienie takiego ojca, jakiego tutaj nie mają. Kiedy więc taka osoba odkrywa, że Bóg jest „Tatą”, którego tak bardzo jej brakuje i którego tak długo szukała, zespala się z Nim w sposób niesłychanie mocny. A można to wytłumaczyć zupełnie prostym faktem, że wszyscy zostaliśmy stworzeni nie tyle na „obraz Boga” w ogóle, ale konkretnie na „obraz Syna”, którego największą miłością jest Ojciec. I dlatego wszyscy ludzie są w swym wnętrzu dziećmi szukającymi tego Ojca, który mówi do każdego z nas: „Nie lękaj się, jestem z tobą, będę ci towarzyszył aż do końca, wierzę w ciebie, miej cierpliwość, twój los jest w moich rękach”. A kiedy człowiek odkrywa, że to Bóg jest tym właśnie „Ojcem”, którego tak bardzo mu brakowało w jego własnej rodzinie, zaczyna Go kochać o wiele bardziej niż można to sobie wyobrazić.

Istnieje inna jeszcze droga pozwalająca zrekompensować brak spowodowany przez własnego ojca: doświadczenie kogoś, kto się staje na płaszczyźnie ludzkiej prawdziwym „ojcem zastępczym”. Może to być dziadek, wujek, nauczyciel, kapłan: ktoś, kto zastępuje ojca. Godne uwagi z tego punktu widzenia jest na przykład to ogromne oczarowanie, jakie Jan Paweł II wywołuje wśród młodzieży. Ludzie młodzi są bardziej zbuntowani, albowiem przeżywają na sobie samych współczesny kryzys ojcostwa. I oto właśnie wśród nich, na każdym kontynencie, Papież cieszy się wciąż największym uznaniem. Dzieje się tak dlatego, że w świecie anty-autorytarnym udaje się im odkryć w Janie Pawle II taki typ

władzy czy autorytetu, jakiego człowiek współczesny tak bardzo poszukuje i na którym tak mu zależy. Ludzie młodzi dostrzegają w nim nie kogoś, kto chce się narzucać siłą, ale człowieka, który pragnie służyć, który jest kochany, budzi nadzieję, pobudza, podnosi na duchu, ukazuje nowe horyzonty. I dlatego właśnie ci młodzi entuzjazmują się tak bardzo Papieżem. Wielkie osobowości pomagają im w sposób szczególnie dobitny przewycięzać życiowo aktualny kryzys anty-autorytarny i anty-ojcowski wraz z tym dramatycznym sieroctwem wewnętrznym, jakie jest jego wynikiem.

Trzecia droga, jaką sam Bóg się posługuje, aby nam dopomóc rozwiązać ten problem braku „ojca”, polega na doświadczeniu naszego własnego ojcostwa i na radości wynikającej z synowskiego oddania, jakiego doznajemy ze strony własnych dzieci, bądź też innych osób traktujących nas jak własnych „ojców”. Spotykamy się nierzadko z ludźmi, którzy są znakomitymi tatusiami. Kiedy ich pytamy, czy są takimi właśnie dlatego, że ich własni ojcowie postępowali w taki sposób z nimi, przeważnie nam odpowiadają, że nie; że ojciec był człowiekiem porywczym, gwałtownym, którego psychologicznie nie traktowali nigdy jako ojca, kiedy jednak sami stali się ojcami i gdy odkryli, że ich dzieci mają do nich pełne zaufanie (takie, jakie dziecko ma do swego ojca), zaczęli stopniowo odkrywać tę cudowną tajemnicę wzajemnej relacji: syn—ojciec. A w konsekwencji tego poczucia stali się prawdziwymi ojcami swych dzieci, zaczęli także pojmować, że Bóg jest również taki dla nich: jest dla nich taki, jakim i oni są dla swych dzieci. Jest to zatem droga, która pozwala uzdrowić rany zadane brakiem własnego ojca.

Każdy może teraz przemyśleć swoje własne dzieje i błagać Pana o to, aby w sposób, jaki się Jemu podoba, pozwolił nam przebyć naszą własną drogę aż do żywotnego i głębokiego odkrycia miłości Boga Ojca.

#### 4. Zadanie na przyszłość

Jako owoc odnowy ojcostwa czyli „autorytetu” w rodzinie naturalnej powinna nastąpić także konsekwentna odnowa obu tych rzeczywistości w Kościele i społeczeństwie. Na świat bez ojców — a na skutek tego oddalony także od Boga — powinniśmy odpowiedzieć zdecydowaną odnową pojęcia władzy (ojcowskiego stylu bycia i działania) na wszystkich płaszczyznach.

Problemy religijne, odrzucanie lub przynajmniej trudności z władzami Kościoła, wynikają bądź to z tej anty-autorytetowej

mentalności, jaką się oddycha we współczesnym środowisku kulturalnym, bądź też z tego, że niektóre osoby mające władzę w Kościele nie odkryły, jak dotąd jeszcze, w sposób wystarczający właściwego sposobu odzwierciedlenia Ojca niebieskiego w wykonywaniu swoich zadań. Wraz z Soborem Watykańskim II nastąpił już znaczny zwrot: odkryto na nowo całe biblijno-trynitarne bogactwo Kościoła rozumianego jako lud zespolony mocą i na wzór tej samej jedności, jaką żyje Ojciec z Synem i z Duchem Świętym. Biskupa określono mianem „ojca” swoich wiernych, o kapłanie zaś się mówi, że jest powołany, aby być „ojcem i wychowawcą w wierze” (por. np. KK 28; DK 3). To wszystko zostało, co najmniej, ukazane jako zadanie (trzeba bowiem odpowiednio długiego czasu, aby stało się to życiem w każdym jego przejawie). Obecnie stwierdza się też bez wątpienia ogromny wysiłek ze strony biskupów i księży, starających się wcielić w swe życie odpowiedni typ autorytetu, bardziej serdeczny, czuły i ojcowski, pozostający na służbie życia i wolności. Niemniej, pozostaje jeszcze długa droga do przebycia.

O wiele bardziej na serio jawi się ta kwestia na płaszczyźnie politycznej. Różne modne ideologie domagają się bowiem tego, by autorytet ludzki nie musiał odpowiadać za swą realizację przed nikim, kto go przewyższa; uważa się przecież sam za absolutnie autonomiczny. Nie jest przeto wcale łatwym zadaniem dążenie do odnowienia zeświecczonego już dość dawno pojęcia autorytetu politycznego, które to zeświecczenie przybierało wciąż na sile od rewolucji francuskiej i od K. Marksa. A tymczasem trzeba koniecznie tym się zająć. Patrząc z tego punktu widzenia, ważne jest również to, by każda wspólnota chrześcijańska nauczyła się takiej formy rządzenia, w której występuje równowaga pomiędzy wolnością a solidarnością, wolnością a władzą. Jeżeli idąc tą drogą stworzymy w Kościele choćby tylko „niewielkie” wzorce takiego typu władzy, jakiej pragnie Bóg, jeżeli w każdej wspólnocie chrześcijańskiej wciela się w życie takie wzorce współżycia i autorytetu, które mogą służyć za przykład społeczeństwu przyszłemu, wtedy będziemy stopniowo urzeczywistniali olbrzymie zadanie przeforsowania całkowicie nowego stylu życia społecznego. A nie będzie to pierwszy raz, kiedy chrześcijaństwu faktycznie się powiedzie. Już bowiem Średniowiecze czerpało natchnienie dla swej organizacji społecznej z wzorca benedyktyńskiego. Św. Benedykt nie mówił nigdy o polityce ani o organizacji społecznej, stworzył natomiast w swoich klasztorach pewien styl organizacji wspólnotowej i wykonywania władzy (autorytetu), który naznaczył całą zachodnią kulturę na długie stulecia. Obecnie spoczywa na Koście-

le zadanie tworzenia wspólnot typu rodzinnego (podobnych do tych z samych początków chrześcijaństwa), w których mając autorytet urzeczywistnia się go jako odbłask autorytetu samego Chrystusa, Dobrego Pasterza, tworząc tym samym odpowiednią przestrzeń dla solidarności i udziału oraz wykazując, że władza nie jest wroga wolności, lecz przeciwnie: jej służy i ją pobudza. Albowiem władza „służąca życiu” jest z samej swej natury autorytetem „służącym wolności”. Triumf ojca nie polega na traktowaniu dziecka tak, jakoby musiało mieć ono wciąż tylko 6 lat, aby można było na coś pozwolić. Triumfem ojca jest nauczenie dziecka dobrego wykorzystywania swojej wolności, aby stało się wreszcie człowiekiem dorosłym i w pełni odpowiedzialnym. Bóg nie jest „Egiptem Dziadkiem”, który pragnie zawsze trzymać swe wnuczęta w swych ramionach: jest Ojcem zatroskanym o to, aby Jego dzieci wzrastały i dochodziły do tego, by być ojcami i matkami, które wspierają i stymulują wolność innych.

Sobór Watykański II ujął te sprawy bardzo jasno. Cieszył się wyraźnie autonomią, jaką zdobywa dzisiejszy człowiek dzięki rozwojowi nauki i techniki. Ale przypomniał również to, że ta właśnie autonomia nie może być żadną miarą pojmowana jako absolutna. Albowiem w obliczu Boga nigdy nie przestajemy być Jego dziećmi. Natomiast On sam chce tego, abyśmy byli dziećmi dojrzałymi, wolnymi i współodpowiedzialnymi, które z Nim współpracują i promieniują Jego własnym ojcostwem na innych. Ojciec ziemski dowodzi, że jest dobrym ojcem, kiedy potrafi wychować swoje dzieci tak, że ich wolność staje się dojrzała, zdolna do podejmowania decyzji, do autonomii, do współodpowiedzialności i do rozwijania swej własnej płodności ojcowskiej.

Takiego właśnie rodzaju autorytetu winniśmy się uczyć w Kościele, w naszych wspólnotach chrześcijańskich: aby się tworzyła społeczność polityczna różna od tych, jakich się domagają te ideologie, które dyskutują obecnie pomiędzy sobą nad rządzeniem światem i które się także jawią bardzo wyraźnie jako anty-autorytarne. Jest to jeden z najpoważniejszych obecnie problemów. Chciaż bowiem wspomniane ideologie nie występują niekiedy otwarcie jako anty-religijne, to przecież w miarę jak są anty-autorytarne lub deformują sens władzy (i autorytetu) — zgodnie z tym, jak je sam Bóg wykonuje, pragnąc zarazem, abyśmy tak samo je realizowali — podkopują mocno teologię Boga jako Ojca i rodzą kulturę śmierci, która może przeobrazić ziemię w lodownię zamieszkiwaną przez wystraszone sieroty, niezdolne do osiągnięcia braterstwa, o jakim wszyscy teraz mówią. Albowiem jest ono niemożliwe bez wspólnego Ojca, w którym znajduje ono swoje źródło

i swe centrum. Odrzucenie tego jedyne go rozsądnego rozwiązania może się skończyć strachem prowadzącym aż do samobójstwa atomowego. Jedy ną alternatywą może być więc tutaj tworzenie takiego świata, w którym będą się pojawiały osobowości prawdziwie ojcowskie — w rodzinach, w Kościele i w społeczeństwie — które odzwierciedlając Ojca niebieskiego jako Dobrego Pasterza umożliwią ludziom przeżywanie i odczuwanie siebie samych jako prawdziwych „synów i córki”: a jest to jedyna realna droga wiodąca do doświadczenia samych siebie jako faktycznych „braci” jednej i tej samej rodziny ludzkiej.

tłum. ks. **Lucjan Balter SAC**